

CYRULIK N WARSZAWSKI

21

1

ŚMIEJMY SIĘ! KTO WIE CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE? (BEAUMARCHAIS)



Marszałek Piłsudski w gronie swych zaufanych doradców.

rys. Z. Czernański

R A D A

„Sie sassen und tranken beim Teetisch
Und sprachen von Liebe viel” Heine.

Siedzieli przy stole. Dogasa
Dzień mglisty, jesienny bez sił,
Pachniała litewska kielbasa
A kolor czerwony jej był.

Romocki się trzymał za głowę,
Meysztowicz na stole miał trzos,
Przegryzał pastylki mindowe,
Zaleski zaś prosił o głos.

Wzrok w niego tak wpił się posępny,
Że ledwo przemówić coś mógł,
Z pod wąsów głos zabrzmiał: „Następny!”
A tamten powalił się z nóg.

Czechowicz, nie patrząc w tę stronę
„Rzecz jedna” rzekł „myślę jest złą”
Tu spojrzął na brwi nastroszone
I szepnął: „A zresztą... pardon!”

Pan Jędrzej rzekł, broniąc swej kasty
„Robotnik... też musi... a brak...”
Lecz wąs się poruszył sumiasty
Więc westchnął, siadając: „Nno... tak”.

Ja sędzę „Meysztowicz powiedział
„Że inny by przydał się ład”
Lecz w chwilę jak powstał tak siedział
Staniewicz też usiadł i zbladł.

Kwiatkowski niepewne miał ruchy
„Ja sędzę”, wyszeptał „że Pre....
Lecz zaraz mu przerwał głos suchy
„Pan chciał coś powiedzieć?”... „Już nie”.

Przez chwilę nikt w sali nie gada
(Romocki nie zliczył do trzech)
I nagle „My pierwsza brygada”
Meysztowicz jął sapać jak miech.

K. I.

PUBLICZNOŚĆ.

Zbyt często się krytykuje aktorów, zbyt mało zaś napada się na publiczność. Część winy za nieudolność i niemrawość widowiska spada zawsze na widzów, każdy bowiem z biletem do teatru kupuje prawo zarówno bicia oklasków jak i wykonawców, „Więcej życia, panowie!” jak mawiał pewien nieboszczyk. Gdzież się podziały te czasy, kiedy to wygwizdywano aktorów, obrzucano ich jajami, wypręgano im konie albo też odwrotnie. Aktor musi grać o grubą stawkę — albo zwycięży i wtedy wypręgają mu czterdzieści koni parowych, albo przegrywa i wtedy mu otwierają, że się tak wyrażę, „radjator”. Rzym, Moskwa i Berlin gwizdzą w teatrze ale umie się również entuzjasmować. Publiczność warszawska wnosi ze sobą duszny i bezpłodny spokój rezygnacji. Wynika to prawdopodobnie z tego, że zbyt rzadko u nas zwracają pieniądze za bilety. Widz teatralny kupuje kota w worku, płaci pieniądze z góry i po odejściu od kasy nie pomagają żadne reklamacje. Jest to zwyczaj niezdrowy i spaczony z prymitywną sprawiedliwością. Publiczność powinna płacić po przedstawieniu i co łaska, jak to było dawniej, kiedy nie było jeszcze „elektryczności”.

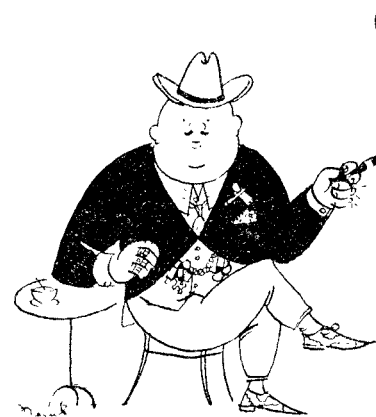
Istnieje pewna symbolika nazw i nie jest to przypadkiem, że „Związek Artystów Scen Polskich” czyta się w skróceniu „Zasp” a „Związek Autorów Dramatycznych” czyta się „Zad”. Oceny publiczności trzeba szukać w sumie obu tych skrótów i nie będziemy dalecy prawdy jeśli nazwiemy wi-

dzów warszawskich „zaspaniem i zadami”. Ale są to zady z różnych epok rozwoju. W teatrze obok tryglodyty, jaskiniowca, człowieka z Lewentala — siedzi człowiek z czasu dyrektora Miłaszewskiego, przyznać jednak należy, iż naogół przeważa publiczność z czasów przedchrześcijańskich. Żydzi dzielą się na entuzjastów i tych co chodzą za kartkami. Żyd entuzjasta jest zwykle kobietą i kocha się w Węgrzynie. Przy wejściu tego sympatycznego aktora słyszy się zwykle westchnienia: „Uj — Węgrzyn — nie mogę!” (Jest to oczywiście kobieterja, bo taki żyd-kobieta zawsze może i chce — tylko tak udaje). Ci, którzy chodzą za kartkami to przeważnie dentyści. Tacy mówią zwykle: „Widziałem to w chudej, żeściwnym u Tairowa”. I w tym krótkim zdaniu zamykają całą swoją dumę rasową. Wśród publiczności aryjskiej przeważają tak zwane „minimaxy” czyli ludzie o minimalnych wymaganiach. Mówią oni zwykle:

„Smosarska — to bycza kobieta, co Feluś,” a Feluś zwykle odpowiada: „A Nicwiarowska to pies”. Ludzie ci robią w teatrze małe ale słuszne obserwacje w rodzaju „Patrz — Ordonka”, albo „Buja go”. Interesują się zwykle stroną seksualną i pełni są niepokojem czy Fertner z Cwiklińska, czy Junosza z Malicką, czy Edyp „na prawdę”, czy Desdemona „nawala”, czy Antonjusz „kombinuje” z tą w czerwonych. Jeśli się wszystko dobrze (a zwłaszcza bohater z bohaterką) ułoży idą spać zadowoleni z życia. Specjalnym typem widza jest człowiek podejrzliwy. Taki siedzi zwykle uśmiechnięty ironicznie i uważa żeby go „nie nabie-

rall”, najchętniej jednak bywa na walkach w cyrku i na wyścigach. Bywa też czasem w teatrze widz prawdziwy. Człowiek, który nic nie wie o tem, że „Zebrzycka żyje z Przytyckim”, nie go to nie oburza, że Kociński ma niemodny smoking. Widz taki zwykle jest młody, czyta dużo, przejmując się i wzrusza tem co się dzieje na świecie. Drażni go fałsz, głupota i nieudolność, ale wychodzi czasem z teatru rozpleciony i drżący z wzruszenia. Ten właśnie młody człowiek z galerji musi przyjąć do głosu, musi się nauczyć entuzjazmu i musi się nauczyć gwizdać. Lepiej jest oczywiście zacząć od entuzjazmu a powoli przejść do gwizdania. Niestety sprawa gwizdania jest aktualniejsza. Niech jednak pamięta, że gwizdać wolno tylko tym, którzy się potrafią zachwycić a mdły jest entuzjazm tych, którzy nic nie oburza.

A. Słonimski.



Centrala Dewiz. rys. J. Z.

NAJLEPSZE NUMERY KABARETOWE W NOWEM WYKONANIU



„Zula chce Króla.”

(śpiewają: pani Zula Pogorzelska, minister Meysztowicz i Janusz x. Radziwiłł).

rys. Z. Czernański.



„Marsz, marsz Kozicki z ziemi włoskiej do Polski”.



Czy p. Duhamel rozumie, co to znaczy wypuścić więźniów politycznych?



AKADEMJA NAPISÓW

Podróżując przez wiele lat i doszedłszy do przekonania, że nie święci garnki lepią, zapragnąłem, z kolei, i sam je lepić.

Niepotrzebnie panowie uczeni ślęczą nad egipskimi hieroglifami, chcąc zbadać tajemnice słynnych piramid, za co otrzymują tytuły naukowe i orderzy, nie mówiąc już o darmowym pogrzebie.

Nie zaprzeczam, iż na grobowcach faraonów i innych obeliskach można odnaleźć pouczające przykłady, zarówno egipskiej, jak i staro-chaldejskiej kaligrafii.

Ale zdarza się i wręcz odwrotnie, a mianowicie, że — studując współcześnie tak zwane płoty oraz ławki w miejskich parkach i innych miejscach publicznego tłoku, z muzyką i bez muzyki, — można zebrać materiał naukowy, choć nie rytym stylusem, lecz, że tak powiem, szczyrykiem.

Z uwagi na moralność i młode pokolenie, jestem pozbawiony możliwości opublikowania wszystkich przestudjowanych plotów, które są pisane porządniej niż wyżej wspomniane hieroglify, pomimo, że nie klinowem piśmem, i na których wszystko wyłożone jest jasno, bez wszelkiej mistyki.

Ograniczam się do ławki ogrodowej polskiej, jak naszej, tak i w innych centrach kuli ziemskiej.

Prace wielu lat rozbijam na działki dla wygody czytelników oraz dorastającego pokolenia, które dąży do światła i poznania samych siebie przez samych siebie.

Opus pierwsze. Kraków. Planty. Ławka pomalowana ochrą, lecz podrapana, pomimo, że z widokiem na pocztę.

Napisano, co następuje w porządku chronologicznym napisów i martwych przedmiotów.

„Wszyscy mężczyźni — oszukańcy i szczypią się”.

„Panno Zosiu, niech się pani nie wygina, pani też nie chryzantemal”

Wierszyk:

„Siedziałam sobie,
Gdzie ta ławeczka;
Wspomniałam sobie
Twoje usteczka”.

„27 maja tutaj byli Mania i Kaziś. Niezszczęśliwi niech płaczą. Ha — ha!”

„Jam władca, jam niewolnik, jam robak, jam Bóg. Uczeń 5-ej klasy pierwszego gimnazjum państwowego. I. K.”

„Maryla Rozenewajg jest cholera”.

„Siedzieli tutaj po „Czterech jeźdźcach Apokalipsy” i całowali się do północy. A. F. i B. D.”

„Wszyscyście bydło!”

„Kocham się w czyichś oczach, ale w czyich nie powiem... Gina F.”

„A bodaj ci one wypłynęły, mało zielona!... Staszek Kubiak”.

„Podaje się do publicznej wiadomości, że Tartakower jest idjota!”

„Lusia M. zakochana w młodszym Bargielskim!...”

„Niech żyje generał Haller!”

Uwaga: wyżej przytoczone teksty otaczają ludzkie serca, przebite strzałami i tym podobnymi przedmiotami domowego użytku.

Opus drugie: Warszawa. Aleje Ujazdowskie. Ławka szaro-zielonkawa.

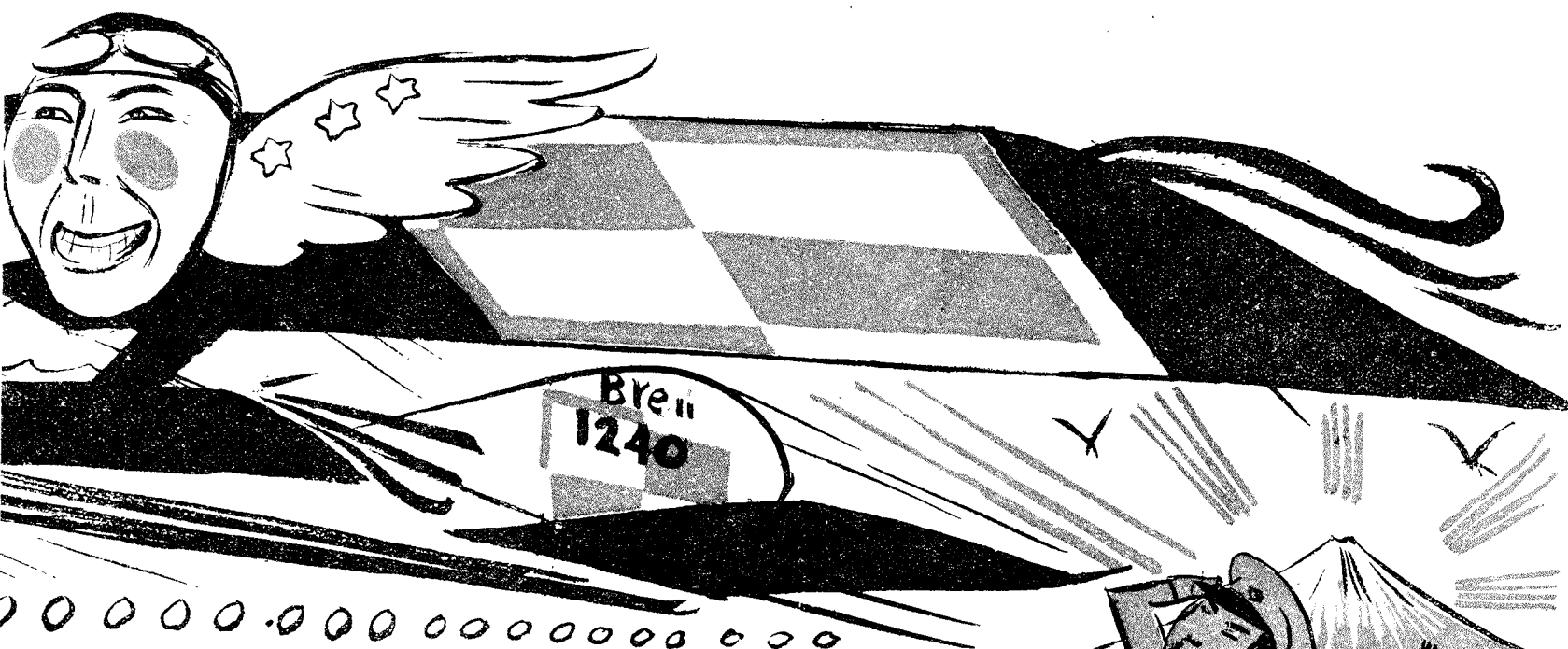
Na miejscu przeznaczonym do siedzenia znajdują się następujące napisy:

„Dni nasze mijają szybko, jak fale potoku. Janusz Plewiński”.

„Węgrzyn — to moje marzenie! Ola P.”

„Gienka Wietrzyk się puszcza. Czarna Maski”.

„Kiedy skonam, kiedy umrę, kiedy już nie będzie mnie... Wanda R.”



„Daj spokój, Wandzia! Pij kakao Van-Houtena! Edmund”.

„Precz z Witosem!”

„Niech żyje Liga wolnej miłości, śmierć muchom! Cyk-cyk!”

„Jabym cię cyknął, bydlaku!”

„Panno Stefciu, kocham panią na całe życie. Tak, czy nie?”

„Tak.”

„Kobieto, puchu marny, ty jesteś jak zdrowie... Kordjan”.

„Pan nie jest Kordjan, ale...”

Uwaga: słowo wykropkowane — nie do druku.

Opus trzecie. Lwów. Wysoki Zamek. Ławka zwyczajna. Teksty — południowo-wschodnie.

„Na Wysokim Zamku

Siedzi student z Hanką,

Ona durna — będzie mamką.”

„Niech żyje miasto Lwów!”

„Mirjam!... ja panią zabiję, ponieważ szaleję z miłości. Wojciech Katz”.

„Tu cierpiał Józekiż. Życie to serafin i pijana bachantka. Tak...”

„A może ni? S. T.”

„Pan jest zwyczajna idjota i tuman”.

„Łoła! kiedy!?”

„Ni-gdy. Łoła”.

„A co? Trzeba ci tego było? Nienormalny kretyn!...”

...Na powyżej opisanym lwowskim siedzeniu urywam tok wykładu ojczystych tekstów, żeby odetchnąć i zająć się siedzeniami Europy centralnej w opracowaniu dla dzieci i młodzieży.

Dosć już zabijania głów hieroglifami egipskimi! Kropka.

przerobił z Don Aminado

—wb—

Kto powiedział, że endecy

Możą zacnym duchem przesiąc,

Temu tak złoimy plecy,

Że nie wstanie ruski miesiąc.

Z RÓŻNYCH SZTAMBUCHÓW.

Boya wina, Boya wina,

Boya bardzo wielka wina.

Stanisław Miłaszewski.

„Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi”.

Jakób Mortkowicz.

Bardzo dziwnym jest wypadkiem

Rządzić „Światem”, trzęsąc ZADkiem.

Stefan Krzywoszewski.

NA KORFANTEGO.

Koń — Strakacz, żona Magda,

Co ma dać Bóg to i tak da.

NOWE BROSZURY:

Jerzego Duhamela: „Słowo o Bandrosie”.

Antoniego Słonimskiego: „Dzieckiem

w kolebce kto łeb urwał Fredrze”.



rys. Pik.



rys. Pik

SPRAWA LEMOINE'A.

(w stylu powieści Balzac'a).

Podczas jednego z ostatnich miesięcy roku 1907, na jednym z rautów u markizy d'Espard, gdzie zbierała się podówczas elita arystokracji paryskiej (najwytworniejszej, podług orzeczenia pana de Talleyrand, owego Rogera Bacona w sprawach towarzyskich, — który był biskupem i księciem Benewentu), grono osób, złożone z panów de Marsay i Rastiganc, hrabiego Feliksa de Vandenesse, księcia de Rhétoré i de Grads-lieu, hrabiego Adama Laginski'ego, mecena-sa Oktawjusza de Camps, oraz lorda Dudley, — otaczało księżnę de Cadignan, nie wzbudzając tem jednak zazdrości markizy. Czyż nie jest to, naprawdę, jedną z największych cnót pani domu, owej karmelitanki wobec światowych pokus — że musi poświęcać swą zalotność, swą pychę kobiecą, nawet miłość, aby stworzyć sobie salony, których najpiękniejszą częstokroć ozdobę stanowią współzawodnicy? Czy nie jest ona, pod tym względem równa świętej? I czyż nie zasługuje za to na, tak drogo okupione, miejsce w raju towarzyskim? Markiza — panna de Blamont-Chauvry, spokrewniona z rodami Navarreins, Lenoncourt, Chaliou — witała każdego nowoprzybyłego gościa, podając mu dłoń, o' której Desplein, największy uczony naszych czasów, nie wyłączając Klaudjusza Bernard, a który był uczniem

Lavater'a, wyraził się, że uznał by ją za wzór wszelkiej doskonałości, gdyby mu dano ją do oceny. Nagle otwarły się drzwi przed sławnym powieściopisarzem Danielem d'Arthez. Fizyk świata moralnego, któryby posiadał jednocześnie genjusz Lavoisier'a i Bichat — twórcy chemii organicznej — byłby jeden w stanie zróżniczkować elementy, składające się na specyficzny rezonans kroków wielkich ludzi. Gdybyście posłyszeli rezonans kroków d'Arthez'a, byłibycie zazdrzeli. Tak mógł stapać jedynie wielki genjusz, lub wielki zbrodniarz. Zresztą czyż genjusz nie jest pewnym rodzajem zbrodni przeciwko rutynie przeszłości, którą to zbrodnię każe nasza współczesność stokroć surowiej, aniżeli zbrodnię prawdziwą, czego dowodem, że uczeni nasi mrują po szpitalach, smutniejszych nad galery.

Athénaïs nie posiadała się z radości, widząc powracającego do niej kochanka, którego miała nadzieję porwać swojej najlepszej przyjaźni. Pomimo to, uściśnęła dłoń księżnej, zachowując przytem spokój nieprzenikniony, jaki jest właściwością kobiet z wyższego towarzystwa, które zachowują go nawet wtedy, gdy wbijają sztylet w własze serce.

— Cieszę się przez wzgląd na ciebie, moja droga, że pan d'Arthez przyszedł, — rzekła do pani de Cadignan — tem więcej, ponieważ spotka go prawdziwa niespodzianka, gdyż nie wiedział, że pani tu będzie.

— Z pewnością miał nadzieję zastać tu

pana de Rubempré, którego uwielbia za jego talent, — odpowiedziała Djana z pięszcziwym uśmiechem, który krył najzłośliwsze szyderstwo, gdyż wiadomem było, że pani d'Espard nie przebaczyła Lucjanowi, że ją był opuścił.

— Oh! mój aniele, odrzekła markiza z zadziwiającą swobodą, my nie możemy zatrzymać tych ludzi, Lucjan podzielił los małego d'Esgrignon, dodała, pograżając obecnych złośliwością swych słów, z których każde było ciosem zabójczym dla księżnej. (Patrz „Gabinet Starożytności”).

— Pani mówi o panu de Rubempré, — odezwała się wicehrabina de Beauséant, która od czasu śmierci pana de Nueil nie ukazywała się w świecie, a przez przyzwyczajenie, właściwe osobom zamieszkałym przez dłuższy czas na prowincji, delectowała się zadziwianiem mieszkańców stolicy nowinami, o których dopiero co się dowiedziała — Czy panie wiedzą o tem, że on jest zaręczony z Klotyldą de Grandlieu?

Wszyscy poczęli dawać wicehrabinie znaki, aby zamilkła, ponieważ o małżeństwie tem nie wiedziała nic jeszcze pani de Sérizy, a to ją mogło doprowadzić do rozpacz.

— Zapewniano mnie o tem, być może fałszywie — podjęła mimo to wicehrabina, nie rozumiejąc dokładnie, pod czyim adresem popełniła niewłaściwość i żalując swych słów nazbyt ostentacyjnych. — To co panie mówią nie wydaje mi się wcale dziwnem, — dorzuciła, — ponieważ odrazu nie chciałam dać wiary, aby Klotylda mogła być zajęta kimś tak mało pociągającym.

— Ależ przeciwnie, nikt nie jest pani zdania, Klara — wykrzyknęła księżna, ukazując hrabinę de Sérizy, która słyszała rozmowę.

Sens tych słów był tem mniej zrozumiały dla wicehrabiny, ponieważ zupełnie nie była poinformowana o związku pomiędzy panią de Sérizy, a Lucjanem.

— Mało pociągającym, — starała się poprawić, — mało pociągającym... przynajmniej dla młodej panienki!

— Proszę sobie wyobrazić, — zawołał d'Arthez — przed oddaniem jeszcze swego palta Paddy'emu, słynnemu tygrysowi niebieszczycy Beaudernord'a (patrz „Tajemnice hrabiny de Cadignan”), który prostował się przed nim z niewzruszonym spokojem, właściwym służbie w dzielnicy Saint-Germain, — tak, proszę sobie wyobrazić, powtórzył wielki człowiek z entuzjazmem myśliciela, który wydaje się śmiesznym w środowisku głębokiego zakłamania wielkiego świata.

— O co chodzi? co mamy sobie wyobrazić, — zapytał ironicznie de Marsay, rzucając na Feliksa de Vandennesse, oraz na księżniczkę Galathionne dwuznaczne spojrzenie, prawdziwy przywilej tych, którzy oddawna, przebywali w zażyłych stosunkach z jaśnie panią.

— Słyszysz szarujący! — przesadzał baron de Nucingen z obrzydliwą gruboskórnością parwenjusza, który sądzi, że zapomocą wulgarnych określeń, nadaje sobie ton, maulpując Maksymiljanów de Trailles, lub Marsay'ów; słyszysz topre serce, słyszysz protekuje pan pietnych, jak Jampre.

{Sławny finansista miał skądinąd powody specjalne czuć żal do d'Arthez'a, który

nie chciał mu dostatecznie dopomóc, gdy ten, jako dawny kochanek Estery, usiłował napróżno wprowadzić swą żonę, z domu Goriol, do salonów Diany de Maufrigneuse).

— Pręcej, pręcej, szanowny panie, pięć niesmiernie szczęśliwy, jeśli pan usna mnie kotnym wiewiórkę, co takiego trzepa fyoprasic?

— Nic. — odpowiedział w samą porę d'Arthez, — zwracałem się do markizy.

To było powiedziane tak perfidnie zwycięzcy, że Paweł Morand, jeden z najbardziej impertynentnych sekretarzy ambasady, szepnął: On jest silniejszy od nas! Baron, widząc przegrana, poczuł chłód w kościach. Pani Firmiani pocila się w swych pantoflach, będących arcydziełem polskiego przemysłu. D'Arthez udawał, że nie zauważył komedji, która się przed chwilą rozegrała, tak głębokiej, jaką tylko życie Paryża dostarczyć może (tem się tłumaczy, dlaczego prowincja tak mało daje Francji wielkich mężów stanu) i nie zatrzymując się na pięknej Négrepelisse, a zwracając się do pani de Sérizy z budzącą przerażenie zimną krwią, która może zatrumfować nad najgroźniejszymi nawet niebezpieczeństwami (czyż tak samo dzieje się w stosunku do ludzi serca, jak do pięknych dusz?).

— Odkryto tajemnicę wyrobu djamentów.

— To przetstafia fielkie pokactfa, — zakrzyknął baron olśniony.

— Ależ ja myślałam, że to się zawsze robiło, — odezwiała się naiwnie Leontyna.

Pani de Cadignan, jako osoba dobrego tonu, wystrzegając się brania udziału w rozmowie, do której mieszały się mieszczańki, wykazując swą absolutną nieświadomość chemji. Jeszcze pani de Sérizy nie skończyła zdania, odsłaniającego jej nieprawdopodobną ignorancję, gdy Diana objęła księżnę, z wzniosłym wyrazem oczu. Jeden Rafael chyba byłby w stanie go oddać. I z pewnością, gdyby się mu to udało, stworzyłby pendant do głośniejszej Fornariny, najświetniejszego swego płótna, jedyne, które go stawia ponad Andrzejem del Sarto podług oceny znawców.

Aby zrozumieć dramat, który nastąpi, a do którego scena, przed chwilą opowiedziana, stanowi wstęp, potrzeba kilku słów wyjaśnienia. Pod koniec roku 1905 panowało wielkie napięcie stosunków pomiędzy Francją, a Niemcami. Czy to z tego powodu, że Wilhelm II chciał wypowiedzieć wojnę Francji, czy też, że chciał poprostu aby w to uwierzone, dla zerwania sojuszu naszego z Anglią, w każdym razie ambasador niemiecki otrzymał rozkaz poinformowania rządu francuskiego o tem, że ma zgłosić swoje listy odwoławcze. Królowie finansów grali więc na zniżkę z racji wiadomości o mającej nastąpić mobilizacji. Niesłychane sumy stracono na giełdzie. W ciągu jednego dnia sprzedano rentę, którą bankier Nucingen, w tajemnicy uwiadomiony przez swojego przyjaciela ministra de Marsay o dymisji kanclerza Delcassé, o czem dowiedziano się w Paryżu dopiero około godziny czwartej, odkupił za śmiesznie niską cenę, i które odtąd zachował.

Nie było nikogo, aż do Raula Nathana włącznie, ktoby nie wierzył w wojnę, tak, że kochanek Floryny, odkąd du Tillet, któremu ten chciał uwieść przyrodną siostrę (patrz „Córka Ewy”) i który przyczynił się do jego krachu na giełdzie — podtrzymywał w swoim dzienniku ideę pokoju za wszelką cenę.

Francja była wówczas ocalona z wojny katastrofalnej jedynie dzięki interwencji, pozostającej przez dłuższy czas tajemnicą dla historyków, marszałka de Montcornet, człowieka najpotężniejszego swej epoki, po Napoleonie. Zresztą Napoleon nie miał możliwości skutecznego swego projektu lądowania w Anglii, tej wielkiej myśli jego panowania. Napoleon, Montcornet, czyż pomiędzy temi dwoma imionami nie ma pewnego rodzaju tajemniczego podobieństwa? Jestem daleki od twierdzenia, jakoby nie byli oni związani jakimś węzłem okultystycznym. Być może, nasze czasy, które wąpiły już tyle razy o wielkich sprawach nie starając się ich przeniknąć, będą zmuszone powrócić do harmonji kiedyś ustalonej przez Leibnitz'a. Tem więcej, że człowiek stojący na czele

największej afery z djamentami w Anglii, nazywał się Werner, Juljusz Werner. Werner! czyż to imię nie zdaje się wam przypominać dziwnie średniowiecza? Czyż na samo jego brzmienie, nie widzicie już doktora Fausta, pochylonego nad swemi tyglami, w towarzystwie Malgorzaty, lub bez niej? Czy nie narzuca to ideji kamienia filozoficznego? — Werner! Juljusz! Werner! Zmieńcie tylko dwie litery, a będzie Werther. „Werther” — jest Goethe'go.

Juljusz Werner posługiwał się Lemoine'm, jednym z tych ludzi wyjątkowych, którzy jeśli są prowadzeni przez los sprzyjający, noszą imiona: Geoffroy Saint-Hilaire, Cuvier, Iwan Groźny, Piotr Wielki, Karol Wielki, Berthollet, Spalanzani, Wolta. Zmieńcie tylko okoliczności, a skończą oni jak marszałek d'Ancre, Baltazar Cleas, Pugaczow, Tasso, hrabina de la Motte, lub Vautrin. We Francji patent, jaki przynajmniej rząd wynalazcom nie ma sam przez się żadnego znaczenia. Tu właśnie należy szukać przyczyny, która paraliżuje u nas każde wielkie przedsięwzięcie przemysłowe. Przed Rewolucją Séchard'owie owi potentaci drukarscy posługiwali się jeszcze w Angoulême drewnianymi przyciskami, a bracia Cointet'owie wahali się nabyć drugi patent drukarski. (Patrz „Stracone złudzenia”). Z pewnością niewiele osób rozumiało odpowiedź, jaką dał Lemoine żandarmom, którzy przyszli go aresztować. — Co? Europa miałaby mnie opuścić? zawołał fałszywy wynalazca, z głębokim przerażeniem. Te słowa, powtórzone tegoż wieczoru w salonach ministra Rastignac, przeszły tu niepostrzeżone.

— Ten człowiek chyba zwarjował? — rzekł hrabia de Granville zdziwiony.

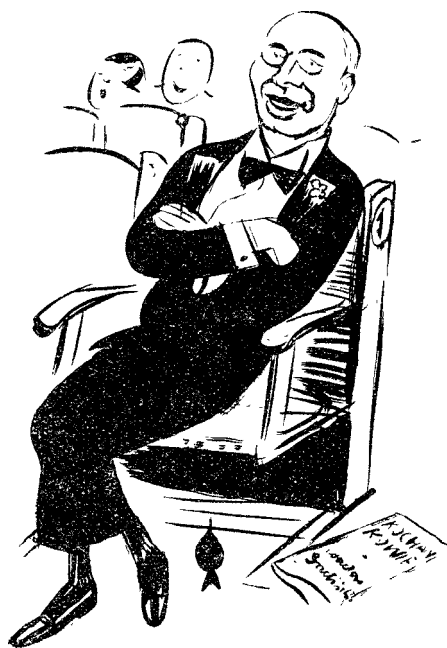
Dawny dependant adwokata Bordin'a musiał właśnie zabrać głos w tej sprawie w imieniu urzędu publicznego, znalazłszy od niedawna, przez małżeństwo swojej drugiej córki z bankierem du Tillet, łaskę, którą był stracił u nowego rządu, dzięki swemu związkowi z rodziną Vandenesse, etc.

Marceli Proust

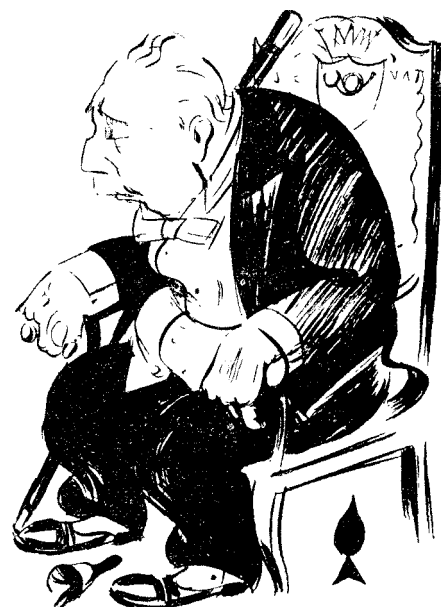
(tłumaczył J. W.).



Persona grata.



Persona gratis.



Persona grat.

rys. Pík.

NAJLEPSZE NUMERY KABARETOWE W NOWEM WYKONANIU



„U mnie nie.... Szanowny Panie B.”
(marszałek Piłsudski i p. Bartel).

rys. Z. Czernański.